

Rozdział II

Gombrowicz wobec samobójstwa

W roku 1958, mocno już wówczas schorowany Gombrowicz na kartach swojego *Dziennika* publicznie upomniał się o prawo do legalnego samobójstwa¹. Nie mógł zrozumieć, jak cywilizacja Zachodu, czyniąc we wszystkich dziedzinach życia spektakularne postępy, może z niezmałym spokojem sumienia skazywać cierpiącą jednostkę na udrękę czasem nawet wieloletniego konania. Domagał się powstania „[...] Domów Śmierci, gdzie każdy miałby do dyspozycji nowoczesne środki lekkiego zgonu. Gdzie można by umrzeć gładko, nie zaś rzucając się pod pociąg, lub wieszając na kłamce. Gdzie człowiek znużony, zniszczony, skończony, mógłby oddać się przyjaznym ramionom specjalisty, aby mu zapewniona została śmierć bez tortury i hańby”².

Traktowanie samobójstwa na równi z zabójstwem uważał za przejaw barbarzyńskiego anachronizmu. Ten stan skandalicznego według niego zacofania utrzymuje się nadal dzięki religiom, ideologiom oraz rozmaitym teoriom, które z biologicznego życia czynią rodzaj nietykalnego absolutu. Ich abstrakcyjne reguły są gwałtem narzucane ludziom cierpiącym przez ludzi aktualnie zdrowych. Ci ostatni nie są oczywiście w stanie wczuć się w cudzą torturę. Relatywnie łatwo więc przychodzi im egzekwowanie posłuszeństwa wobec dogmatów, których konsekwencji sami nie ponoszą.

Gombrowiczowska potyczka o prawo jednostki do swobodnego wyboru momentu śmierci w całości rozegrała się na niespełna trzech stronach drugiego tomu *Dziennika*³. Więcej Gombrowicz nie powróci już na forum publicznym do tego tematu, choć pozostanie on dla niego bynajmniej nie tylko teoretycznym problemem aż do śmierci.

Swym reformatorskim zacięciem Gombrowicz przypomina tutaj, jak zresztą i w wielu innych miejscach, Boya-Żeleńskiego, którego zmagania o modernizację polskiej obyczajowości w zakresie przyznania prawa do rozwodów i świadomego macierzyństwa⁴ musiał z uwagą obserwować. Podobnie jak u Boya w diatribie Gombrowicza pojawia się wyraźny rys antykatolicki. To Kościół poprzez swą ślepą afirmację idei bezwzględnej wartości ludzkiego życia ukształtował mentalność, dla której eutanazja staje się przestępstwem.

Żądanie suwerennego prawa do samobójstwa będzie więc jeszcze jedną z postaci sporu, jaki Gombrowicz prowadził w *Dzienniku* z katolicyzmem, w którego duchu był wychowywany jako dziecko polskiej, ziemiańskiej rodziny. Młody Gombrowicz bardzo szybko wziął rozbrat z Kościołem. We *Wspomnieniach polskich* pisze, że wiarę utracił w sposób bezbolesny i właściwie niezauważalny. Bóg przestał dla niego istnieć, gdyż wyparowała potrzeba jego obecności. Katolicyzm pozostał jednak realnym problemem jako bardzo wpływowa doktryna, z której koncepcjami Gombrowicz wielokrotnie polemizował. Podstawą sporu z katolicyzmem o samobójstwo jest skrajnie odmienna ocena sensu i wartości ludzkiego cierpienia. Sprawie tej poświęcił uwagę Stefan Chwin w tekście *Wyobraźnia i ból pod koniec wieku* i jemu to spostrzeżenie zawdzięczam⁵.

Jak wiadomo, samobójstwo w doktrynie katolickiej zaliczane jest do najcięższych grzechów. Potworność tej przewiny eskaluje fakt, że z przyczyn oczywistych nie może jej już zmyć sakrament spowiedzi. Najdobitniejszym wyrazem napiętnowania i wykluczenia ze wspólnoty było grzebanie poza terenem cmentarza tych, którzy poważyli się odejść w taki sposób. Śmierci zadanej sobie nie usprawiedliwia żadna okoliczność. Cierpienie, którego człowiek doświadcza w wyniku choroby czy innych okoliczności, jest zesłaną przez Boga próbą i cennym darem, którego nikt nie ma prawa odrzucić. Ofiara Chrystusa musiała się dopełnić nie inaczej jak na drodze okrutnej męki. Nie do pomyślenia jest w chrześcijaństwie Chrystus, który tak jak Sokrates wypija umożliwiającą relatywnie szybką i komfortową śmierć cykutę. Byłaby to już zupełnie inna religia.

Cierpienie uległo więc w chrześcijaństwie sakralizacji. Ma ono mistyczny sens, którego nie jesteśmy wprawdzie w stanie pojąć, ale powinniśmy z ufnością przyjąć tę prawdę bez względu na to, jak bardzo jest ona trudna i nieludzka. Gombrowicz z całą stanowczością odrzuca ciężar krzyża. Dla niego fizyczne cierpienie będzie niczym innym jak tylko sprowadzeniem człowieczeństwa do prymitywnego, zwierzęcego wymiaru, gdzie ludzkie istnienie zostaje zredukowane do upokarzających konwulsji szarpanego i przeszywanego bólem ciała. Uzna cierpienie, dokładnie na przekór chrześcijaństwu, za czynnik, który wprowadza w nasze życie czysty absurd – nie ma zatem żadnych moralnych racji, aby go nie unikać, skoro to tylko możliwe. W Gombrowiczowskim świecie, gdzie zdetronizowany Bóg został zastąpiony przez będącego najwyższą dla wszystkiego instancją człowieka, faktycznie nie może być miejsca na cierpienie pojmowane w duchu chrześcijańskim. Znikają też racje, dla których ktokolwiek miałby prawo powstrzymać kogokolwiek przed spełnieniem zamiaru samobójstwa.

Jednak, jak zauważa Gombrowicz, na straży zasady bezwzględnego podtrzymywania ludzkiego życia stoi nie tylko Kościół ze swoją dogmatyką. W nie mniejszym stopniu bronią go ludzie niemający z Kościołem nic wspólnego, powołując się tchórzliwie i obłudnie na rzekomą społeczną szkodliwość samobójstwa. W ten sposób zostaje odebrana jednostce, według słów Gombrowicza, „najcenniejsza wolność człowieka”. Dalej pisze on: „moja najwyższa wolność polega na tym, iż w każdej sekundzie mogę postawić sobie hamletowskie pytanie «być albo nie być?» – i swobodnie na nie odpowiedzieć. To życie, na które zostałem skazany, może mnie zdeptać i zhańbić z okrucieństwem bestii dzikiej, ale jest we mnie jedno wspaniałe i suwerenne urządzenie – że mogę sam siebie pozabawić życia. Nie prosiłem się na świat, ale przynajmniej pozostaje mi prawo odejścia... i to jest fundament mojej wolności. A także godności [...]”⁶. W końcu domaga się, by prawo do śmierci zostało zagwarantowane w konstytucji.

Czy więc samobójstwo miałooby być dla Gombrowicza aktem najwyższej wolności, a być może jedynym prawdziwie wolnym

czynem w świecie, gdzie wolność nie istnieje, gdzie człowiek jest nieustannie stwarzany przez drugiego człowieka i z sieci interakcyjnych międzyludzkich powiązań, które zamieniają nas w rozpedzone kule bilardowe, można się wyrwać, jedynie ostatecznie wypadając z gry?

Jeśli przyjrzymy się samobójstwom, które popełniają bohaterowie Gombrowiczowskich utworów, ani razu nie odnajdziemy ich w sytuacji, w której odebranie sobie życia byłoby wynikiem działania suwerennej woli. Syfon z *Ferdydurke* wiesza się jakiś czas po przegranym z Miętusem pojedynku na miny. „Ja” Syfona zbudowane na idei wewnętrznej czystości i niewinności zostaje obrócone w ruinę, czego konsekwencją jest fizyczne samounicestwienie. Życie poza rolą, z którą się ostatecznie zidentyfikował, wydaje się Syfonowi nie do przyjęcia, więc przerywa je, gdy po wypełnionym monstrualnymi wulgarnościami seksualnym uświadomieniu „przez uszy” odgrywanie tej jedynej roli, w jakiej występował, staje się już niemożliwe.

Władzio ze *Ślubu* popełnia samobójstwo na wyraźne żądanie Henryka. Początkowo śmieje się z nedorzecznosci jego prośby, ale wprzęgnięty przez przyjaciela w ciąg formalnych uwarunkowań w końcu bezwolnie zadaje sobie śmiertelny cios nożem.

Wacław z *Pornografii* sam wystawia się na nóż Karola przekonanego, że zabija Siemiana. Do samobójstwa doprowadza go precyzyjnie wyreżyserowana przez Fryderyka intryga.

I w końcu ostatni samobójca, jeden z bohaterów *Kosmosu* – Ludwik, będący w pewnym sensie odpowiednikiem Wacława, o którym przed chwilą była mowa. Wiesza się on na gałęzi drzewa. Psychologiczna motywacja tego czynu nie zostaje ujawniona przez Gombrowicza, gdyż najprawdopodobniej w ogóle nie istnieje. Wieszanie się Ludwika jest czysto formalnym, całkowicie mechanicznym dopełnieniem się układu, dążącej do ekspansji struktury, jaka organizuje funkcjonowanie powieściowych postaci. Powieszony patyk, wróbel, kot i w końcu Ludwik tworzą samopowtarzalny ciąg prowokowanych na zasadzie analogii i podobieństwa zdarzeń.

Zastanawiające jest, jeśli wziąć pod uwagę zbiorczo te cztery przypadki, że w utworach Gombrowicza samobójstwa dokonu-